

Adrian Sinkowski: Niezwyczajna zwyczajność kobiet

Dlaczego akurat środowiskom liberalnym było z literaturą kobiecą po drodze?



Dlaczego akurat środowiskom liberalnym było z literaturą kobiecą po drodze?

Na początku posłużę się nieswoim głosem. W rozmowie z Jakubem Żulczykiem, którą można znaleźć w zbiorze „Teoria trutnia”, Agnieszka Dorotkiewicz, poruszająca się w zadanym przez Biuro Literackie temacie o wiele sprawniej ode mnie, powiedziała tak: gdy pisze kobieta, od razu pojawia się pytanie, czy jest to pisarka kobieca. Może – ciągnęła dalej – należałoby pytać o pisarstwo męskie za każdym razem, gdy pisze mężczyzna.

Ot, doskonała pointa. Chwytna. Ale niesolidna. Problem bowiem w tym, że samo postawienie sprawy wydaje się z gruntu nieprawdziwe. Bo nawet jeśli pytania o kobiecość pobrzmiwają tu i tam, to ich echo nie jest już, jak parę lat temu, tak głośne. Nie uruchamia już ono lawiny dosadnie brzmiących etykiet, haseł czy łątek. Wyliczyła je z pamięci Inga Iwasiów, tak było: „przerwanie milczenia”, „wyrażanie kobiecego ja”. Hasła w tym stylu, zwłaszcza gdy mają dzisiaj za zadanie streścić zjawisko literatury określanej kobiecą, od razu trącą myszką. Czyż nie?

Bądźmy jednak uczciwi, sięgano po nie z obu stron z równym upodobaniem. Inaczej ich używano: raz były ostrzeżeniem, innym razem zachętą. Wrzucę tu jednak kamyk do własnego ogródka. Dla środowisk liberalnych czy lewicowych, w skład których wejdą – zaproszone przez Biuro Literackie do dyskusji – aktywistki, pisarki, krytyczki literackie, przedstawicielki środowisk akademickich, hasła te były zaledwie punktem wyjścia, otwarciem na refleksję nad miejscem kobiet i kobiecości w obiegu publicznym. Niestety, środowiskom konserwatywnym, dość sceptycznie podchodzącym do tematu, prawie wyłącznie było po drodze z hasłami. Nie zawsze – czym innym jest

mianowicie koncepcja „nowego feminizmu” ukuta, choć w nieco innych okolicznościach, przez Karola Wojtyłę? Może się ona podobać albo nie, ale jest, chociaż należy w niej dostrzec wyjątek od reguły.

Czym jest, a czym nie jest literatura kobieca, to temat, który zostawiam innym, bardziej biegłym we współczesnych teoriach literackich. Bardziej interesujące jest to, co w zasadzie, mimo że niewypowiedziane w dyskusji, rozumie się niejako samo z siebie. Otóż, chcąc nie chcąc, w chwili pojawienia się dyskursu o literaturze kobiecej, dyskurs ten został podyktowany przez jedną ze stron sporu, dla uproszczenia określię ją liberalną. Zdążyłem już wspomnieć, że środowiska konserwatywne zdrzemnęły się przez dłuższą chwilę. Aby im tego nie wytykano, naprędce utkano parę haseł, mało wybrednych i raczej nie wynikających z pogłębionej lektury. Dlatego gdy Inga Iwasiów pisze o „przerwaniu milczenia”, warto od razu dodać, że mówiono tak samo o „obrazoburstwie” czy „demontażu instytucji rodziny”. W końcu Krystyna Dąbrowska, której wyróżniony nagrodą im. Szymborskiej tomik mógłby stać się jednym z pretekstów do dyskusji, otwiera „Białe krzesła” zdaniem: „Skąd mam spojrzeć, żeby cię zobaczyć?”.

Dlaczego akurat środowiskom liberalnym było z literaturą kobiecą po drodze? Powracam do wywiadu z Jakubem Żulczykiem, bo na pytanie, którym posłużyłem się na otwarciu, padła odpowiedź, że mówi się, owszem, o literaturze w wersji macho, ale wynika to raczej z życiorysu autora, czyli z pozaliterackich wątków. Banał, a jakże. Mimo wszystko wiele porządkuje. Środowiskom liberalnym było z literaturą kobiecą po drodze, bo samym autorkom – czy to z pobudek ideowych, światopoglądowych, czy nawet towarzyskich – nie bardzo uśmiechało się z konserwatystami iść ramię w ramię. I trudno się dziwić, bo konserwatyzm w wersji literackiej, politycznej i obyczajowej, wbrew

temu, co mówi się dzisiaj i pisze o jego ekspansywności, wywołuje wśród ludzi szeroko pojętego świata artystycznego uśmiech politowania, niechęć, łatwo z niego zakpić.

Otworzę w tym miejscu nawias i zwierzę się z dylematu: czułe, umiejętnie wplątane w sieci historii, pokazujące degradację w rodzinie powieści Joanny Bator kłócą się z tym, o czym pisarka wypowiada się publicznie. Nie mogę już słuchać o smoleńskiej mgle i oparach krwi unoszących się nad maszerującymi w pochodach Radia Maryja, o tym, że wstyd być Polakiem, o celebrowaniu światła w wigilię. Jednak to ona, autorka „Piaskowej Góry”, cel ataków środowisk konserwatywnych, winę w rozpadzie więzów rodzinnych znajduje nie, jak u Wojciecha Kuczoka, w głowie rodziny, lecz w systemie i zwyczajach PRL-u. Na dodatek, nie licząc zakończenia powieści, czyni to tak wspaniale, że polska proza na pewno jest kobietą.

Dlatego to, o czym pisze Anita Jarzyna, iż ciąży jej formuła spotkań, w których jednocześnie uczestniczy kilka pisarek, choć poza płcią nie łączy ich nic, jest regułą życia literackiego nad Wisłą. Niech ktoś spróbuje udowodnić, że podziały i właśnie dzielące literaturę na kobiecą i pravicową, ale i wiele innych, powiedzmy od razu, często tak wielce bezcelowych, wypracowano na literackim gruncie – nie na łamach dużych mediów, w biurach poselskich, na ulicznych marszach. Dlatego diagnozę Jarzyny przyjmuję pod warunkiem, że powie się na głos: autorów i prelegentów na festiwalach, w programach telewizyjnych, na łamach czasopism literackich łączy się i dobiera na wiele budzących zastrzeżenia sposobów. Mam nadzieję, że wśród ludzi inteligentnych, którzy biorą udział w dyskusji, nie ma potrzeby literalnie ich wymieniać.

Świadomie albo nie, lecz inicjując debatę od nawiązania do postulatów feministycznych wrastających coraz mocniej w życie społeczne, polityczne i kulturalne, Biuro Literackie uwrażliwiło dyskutujące na pewne kategorie. Można się kłócić, czy nie to ustawiło głos Joanny Roszak, czy nie to Barbarze Stawickiej-Pireckiej kazało tłumaczyć się z tego, że choć świat kobiet jest dla niej istotny, to feministką nie jest. Kobiecość, według Roszak, nie zalega już w „trzeciej przestrzeni”, nie ma nic wspólnego z ubóstwem, wykluczeniem z patriarchalnego domu.

Otwieram drugi nawias i skoro przyglądamy się kobietom z drugiej – męskiej – strony, powiem, że jednym z najmocniejszych tekstów Tadeusza Różewicza jest dla mnie „Opowiadanie o starych kobietach”. Wiersz, napisany dokładnie pięćdziesiąt lat temu, mówi o ubóstwie, o wykluczeniu, wydobywa kobiety z niebytu, w którym pogrąża je zwykłe, codzienne, niezbyt spektakularne życie z dnia na dzień:

umiera bóg

stare kobiety wstają jak co dzień

o świecie kupują chleb wino rybę

umiera cywilizacja

stare kobiety wstają o świcie

otwierają okna

usuwają nieczystości

umiera człowiek

stare kobiety

myją zwłoki

grzebią umarłych

sadzą kwiaty

na grobach

(...)

stare kobiety wychodzą o świcie

do miasta kupują mleko chleb

mięso przyprawiają zupę

otwierają okna

tylko głupcy śmieją się

ze starych kobiet

brzydkich kobiet

złych kobiet

Puszczę mimo uszu komentarz Biura Literackiego, że im lepiej postulaty feministek daje się usłyszeć, tym większy i bardziej irracjonalny budzą sprzeciw. Cóż, skoro życie napisało dla mnie scenariusz podobny do tego, o którym wspomina Joanna Mueller, i mnie przypadnie w udziale tłumaczenie się z feminizmu. Tak się

składa, że doskonale pamiętam, o co feministki walczyły w trakcie pierwszej „Manify”. Zamiast postulatów o prawo do aborcji, edukacji seksualnej czy antykoncepcji, trzymały w ręku odkurzaczy, prosząc mężczyzn, aby odkurzali razem z kobietami. Aby wyręczali je w gotowaniu, wspierali w wychowywaniu dzieci. Pragnę zwrócić uwagę, że między jednym a drugim, między walką o normalność a propagowaniem śmierci, istnieje ogromna różnica.

Wypada sprostować na koniec teorii, w której Polska jest kobietą. Nie czuję się na siłach, aby od Juliusza Słowackiego przez Jacka Malczewskiego analizować, w jaki sposób ulegała ona zmianom, chętnie za to zacytuję Macieja Urbanowskiego z wywiadu, który przygotowałem dla kwartalnika „Pressje”. Mowa w nim o „Morfinie” Szczepana Twardocha, który sugestywnie, z niezdrowym wręcz erotyzmem i obsesją uczynił z Polski, jak chyba żaden inny z piszących mężczyzn w ciągu ostatnich lat, kobietę:

Ale u Twardocha chyba chodzi o coś innego, jemu się ta kobiecość Polski nie podoba, prawda? Bo jest miękka, uległa, gwałcona, będąca przedmiotem dziejów, a zarazem żywiąca się krwią „swoich” mężczyzn. Tak jest, z tego co pamiętam, w „Wiecznym Grunwaldzie”. Słyszysz tu z jednej strony sprzeciw wobec romantycznych wyobrażeń polskości, a może wobec polskości w ogóle. Podobnie o swoich narodach myśleli zresztą kiedyś Niemcy i Rosjanie, co jakoś osłabia uniwersalizm tego rozpoznania, którym zresztą tłumaczono czasem potrzebę jakiegoś „męskiego” opiekuna takiego „niewieściego” narodu. Ta metafora oczywiście tłumaczy bardziej jednak pisarstwo Twardocha, ale nie wiem, czy wiele nam mówi o Polsce. I co z taką Polską mielibyśmy

uczynić – odrzucić ją, otoczyć opieką, czy raczej ją „zmaskulinizować”, tzn. sprawić, aby stała się dziejów przedmiotem, aby była twardym facetem, może bezwzględny Żołnierzem, o jakim marzył Brzozowski?

Na koniec 2013 roku Biuro Literackie przeprowadziło debatę, w której poproszono czytelniczki, pisarki, krytyczki literackie, przedstawicielki środowisk akademickich i aktywistki, by zechciały opowiedzieć, jak przedstawia się – ich zdaniem – sytuacja kobiet i tworzonej przez nie literatury w Polsce na początku drugiej dekady XXI wieku. Tekst Adriana Sinkowskiego jest jednym z głosów w debacie „Jaką Pol(s)kę zobaczyli z drugiej strony lustra?”, która jest odpowiedzią mężczyzn na rozpoznania i tezy, które pojawiły się w pierwszej z debat.

Wszystkie głosy można znaleźć tutaj.

Adrian Sinkowski